

# MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

## Leona Grabowskiego

w Krakowie, Plac Maryacki L. 9  
róg Rynku głównego

pełna bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek  
strojnych i angielskich, łoa strusich i rękawiczek.

Sprzedawca materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

QUILLER COUCH.

## SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacja z angielskiego.

6)

Rybacy, jak wuj przewidział, zgodzili się na jego propozycję i na migi wytłómaczyli obcemu, co doktor powiedział. Otrzymałszy odpowiedź, wyrażoną skinieniem głowy i kilku niezrozumiałymi dla wszystkich wyrazami, otoczyli cudzoziemca i ruszyli z nim w drogę. W chwili, gdy odchodził, spojrzał znowu na mnie, uśmiechając się dziwnie. Pod wrażeniem tego uśmiechu i tego spojrzenia, zdało mi się, że krew w żyłach moich ścina się lodem. Wuj Loveday pozostał jeszcze chwilę, zaklinając Józefa na wszystkie świętości, by baczył na „małego“, gdy wchodzić będziemy na skaliste wzgórze, poczem, zapewniwszy mnie, że nieco później odwiedzi mateczkę, dopędził gromadę, idącą w stronę Polkimbra. Wkrótce zniknęła nam ona z oczu w tunelu Skały umarłego.

Minutę, a może i dwie szliśmy milcząc. Joe (Józef) Roscorta był tak zwanym „człowiekiem“ mego wuja. Wyrażenie to oznaczało w naszych stronach istotę, posiadającą odpowiednie zdolności i wiedzę do otaczania należyte staraniami konia, jednego lub dwóch wieprzy i zajmowania się ogrodem, oraz wszelkimi innymi sprawami, wymagającymi ciągłych starań. W danej chwili i ja ich potrzebowałem, więc po upływie pewnego czasu, który minął w milczeniu, brzemieniem w myśli, Józef przemówił do mnie:

- Wydajesz się zmordowany.
- Czy tak ci się wydaje, Joe?
- Zmordowany do gruntu.

Tu Józef zamilkł, aby po chwili przemówić znowu:

— Nie lubię cudzoziemców! Z tymi przekłętymi ludźmi trudno się rozmówić. Ale przynasz Kasperze, że pięknie było...

— Co?

— Gdy doktor rozprawiał. Powiadam ci: perorował bardzo pięknie. Bo też bezwątpienia jest on znakomitym uczonym, a gdyby się znalazł ktoś, coby chciał temu przeczyć, niktby mu z pewnością nie uwierzył...

— Ależ, Joe, człowiek, do którego przemawiał, zdawał się go nie rozumieć.

— Bo... bo... Niech dyabli porwą wszystkich cudzoziemców! Mają łby twarde, jak stare oślice. A jednak założyłbym się, że zrozumiał.

Przypuszczenie Józefa tak fatalnie podobne było do mojej pewności, że ugryziłem się w język, nie chcąc mu odpowiedzieć.

— Mieszkanie, mieszkanie... Jakże on tę miejscowość nazwał?

— Mezopot mii.

— Powiem ci szczerze, że nie mogę oświadczyć stanowczo, abym już widział ludzi z tego kraju. W każdym razie przyznać należy, że ów rośl drab nie znalazł piękności na drodze swojego żywota. Między rozmaitymi zbrojami, jakich spotkałem w życiu, nie zetknąłem się ani razu ze s karadniejszym obliczem. Uwważaj, proszę, na moje słowa, nie pośliwki on się tu do nas zgłosił.

Rzecz sama dla mnie tak bardzo nie ulegała wątpliwości, że nie śmiałem przeczyć.

— Nie rozumiem wcale całej historii tego rozbicia. Przypuszczam, że to musiał być okręt, który... gdy go spostrzegłem wczoraj... lawirował w taki sposób, jakby nim sterował niedołęga, albo marynarz z wód słodkich. Wprawdzie Jonatan, strażnik wybrzeża, który przyszedł dziś rano do Lizard, twierdził, że widział około północy statek w pośród

skali, ale przypuszczał, że to mu się tylko zdawało. Przedewszystkiem Jonatan, to istny wół, następnie zapewne mogę, że noc była taka czarna, iż człowiek i o krok przed sobą nie dojrzeć nie mógł. To też, gdy przysięgał, że na przodzie okrętu nie było sygnałowych niebieskich latarni, gotów jestem uwierzyć, że miał słusność, bo on nie mógł ich widzieć, ani nie słyszeć, bo jest przecie głuchy, jak pień. W rzeczy samej na nic się nie przyda potępić go, lub oskarżać. Raczej zawołać wypada: niech dyabli porwą taki rzą, który na przestrzeni blisko siedmiu mil wybrzeża ustanawia strażnikiem głuchego idyotę, zwłaszcza w porze, gdy przytrafiają się noce, w ciągu których, nawet mysz nie spostrzegłaby swojej własnej łapki, przesuwającej się tuż przed samym jej pyszczkiem.

— Jakież to był statek, który Joe widział wczoraj?

— Z wyglądu sądzić można było, że przybywa z Indyi wschodnich... i że załoga jego składa się z kupy ciężko głupich cudzoziemców, nie umiejących nim kierować, bo chociaż dwukrotnie próbował wpłynąć do zatoki, dwukrotnie mu się to nie udało. To też, gdy Jonatan przyszedł dziś do nas i biał trzy po trzy o jakimś okręcie, kręcącym się wśród raf, powiedziałem sobie: to musi być ten sam! Dziwna rzecz jednak, że bałwan nie słyszał, gdy na nim strzelano, lecz sprytu to on niema i za grosz, zwłaszcza, że w danej chwili, mógł być mocno zmęczony nadzorowaniem siedmiu mil wybrzeża, a właśnie wówczas pół tuzina statków mogło minąć zatokę, albo rozbicić się o skały.

Gdy tych słów domawiał, stanęliśmy pod drzwiami domu w Lantrig. Józef, pożegnawszy mnie wyrazami „do widzenia“, ruszył z powrotem ku Polkimbra, gdzie spodziewał się dowiedzieć się czegoś więcej o moim rozbitek.

Zamiast wejść od razu do dworu, patrzyłem na jego niską i pokraczną postać, znikającą w oddaleniu. Potem siadłem na jednym z głazów i zamyśliłem się głęboko. Światło dnia posiadało ową harmonijną jasność, właściwą jesieni. U stóp moich morze, zmarszczone jeszcze nieco pieniacami się falami, układało się już jednak do zupełnego spokoju. Przysionek z wystającym daszkiem, wraz z całym starym domem rodzinnym, po doznanych strasznych wrażeniach, wydawał mi się tak miły i cichy, że uczułem się owładnięty nadzwyczajną jakąś błogością.

Nagle przypomniałem sobie pakiet i list, dany mi przez Johna. Sięgnąłem do kieszeni i wydobyłem je. Pakiet składał się z cynowego pudełka o wieku z polerowanej miedzi, objętego wokół opaską skórzaną. Z jednego końca pakietu, pomiędzy opaską a pudełkiem, wsunięty był kawał złotego metalu, który wydał mi się połową klamry z haczykiem. Drugiej połowy brakło. Na metalu wyrze były jakieś litery. Pudełko było płaskie i ciężkie, a opaska jeszcze mokra i zbrukana.

Przyjrzałem się listowi. Zmógł jak ciasto, a w takim stanie nie dałby się odczytać. Rozwinąłem go delikatnie, wyprostowałem i wsunąłem pod opaskę. Poczem namyślać się zacząłem, gdzie łup mój ukryć, taką bowiem jeszcze przejęty byłem trwogą. uprzytomniwszy sobie wyraz twarzy człowieka, który sam nazwał się Apollyonem, że czułem, iż nie odzyskam upragnionego spokoju, dopóki otrzymane od zamordowanego przedmioty przy mnie pozostaną. Lecz gdzie je schować? Po namyśle, przypomniałem sobie, iż w pustej oborze kilka kamieni daje się łatwo wyjąć z jednej ściany. Oglądając się więc ostrożnie poza siebie i wokół, wsunąłem się pocichu do obory. Bez trudności znalazłem poruszające się kamienie, wydobyłem je i w opróżniony otwór wetknąłem pakiet. Potem tylnymi drzwiami wszedłem do domu.

Była właśnie dziewiąta. Mateczka tylko co widocznie wstała i przygotowywała dla nas obojga śniadanie.

Twarz miała niezmiernie bladą, lecz uspokoiła się nieco, widząc mnie wchodzącego. Czekając na moje przemówienie. Coś jednak dostrzegła w moich oczach, co ją przeraziło znowu, bo nie doczekawszy się, że zacznę sam, nie wezwany opowiadać, zadała mi pytanie:

— Jakie wieści przynosisz mi, Kasperku?

— Okręt rozbili się na rafach, naprzeciw Skały Umarłego, lecz nic nie znaleziono, prócz...

— Jak rozbity statek się nazywał?

— „Marya Joanna“... chociaż nie jestem pewny, czy takie miał miano...

Pod brzemieniem doznanych wrażeń, zapomniałem zupełnie, że matka zapagnie dowiedzieć się, gdzie byłem i co robiłem. Gdyby okoliczności posiadały zwykły charakter, opowiedziałbym jej wszystko, co widziałem i słyszałem, lecz tym razem obawa, jaką wzbudzał we mnie kapitan, nakazywała mi milczenie. W umyśle dziecięcym zarysowały się nagle okropne, czekające mnie skutki, gdybym wygadał choć słówko więcej, niż było mi wolno powiedzieć. Nieszczęśliwy John wspominał „Maryę Joannę“, dla tego ta nazwa z ust mi się wyrwała mimowoli. Pomieszany pochylałem się nad śniadaniem.

Po krótkiej, lecz bardzo przykrej chwili, w ciągu której nie widziałem wprawdzie, ale przeczuwałem zdziwienie i niepokój mateczki, rzekła ona do mnie:

— Więc nie wiesz?

— Nie wiem. Zdaje mi się tylko, że statek zwał się „Marya Joanna“... z załogi bowiem ocalał jakiś niezwykły marynarz... znalazł go wuj Loveday... Miał minę cudzoziemca... rzekł zatem... to jest ja chciałem powiedzieć... bo tak sobie myślałem... że właśnie ta nazwa, ale...

Czułem, że się wikłam i baję bez sensu. Więc zrazu próbowałem zabrać się do śniadania. W minutę potem jednak, podniosłem w górę oczy i spotkałem się ze wzrokiem matki, w którym wyczytałem zdziwienie i coś w rodzaju wyrzutu.

— Czy ocalał tylko ten jeden marynarz?

— Nie... To jest tak... znaleziono tylko jego jednego...

Nigdy dotąd nie kłamałem przed matką, więc czułem, że mnie ten wysiłek zawstydzia i upokarza. Wyrazy bez związku, w których nieudolnie ukryć pragnąłem prawdę, rozdzierały mi serce, a wyraz smutku w jej łzawych źrenicach sprawiał mi przykrość niewymowną.

— Mój kochany Kasperku, co ci jest? Dla czego wydajesz mi się tak nie swój?

Staralem się udąć zdziwienie, lecz mi się to nie powiodło. Oczy wypowiedziały mi posłuszeństwo, nie mogły znieść siły jej wzroku, wlepionego we mnie.

— Wujaszek przyjdzie nieco później... Zajmuje się obecnie kapita... to jest raczej marynarzem.. Powiedział, że przyjdzie później...

— Jak wygląda ocalony majtek?

To pytanie zmieszało mnie do reszty. Z jednej strony lęk, jaki wzbudzał we mnie kapitan, z drugiej jej zdziwienie, połączone z rozdzierającym serce smutkiem, sprawiły, że z jęknąłem się znowu, pragnąc, aby ziemia rozstała się podemną i pochłonięła mnie czempredzej.

Nagle, straszne podejrzenie wdarło się do mózgu mojej matki.

— Kasper! Kasper! to być nie może... ty nie chcesz mi powiedzieć, że to jego był statek!

— Nie, mam, nie! Oczulkowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo. On powiedział... to jest ja chcę powiedzieć... że nie płynął na tym statku...

— O, niech Bogu będą dzięki!... Jednak coś ukrywasz przedemną Co to jest, mój Kasperku kochany? Czego ty mi nie chcesz powiedzieć?

— Mateczko, ja myślę... ja przypuszczam, że ten statek, to niezawodnie „Marya Joanna“, lecz to nie jego statek... Oczulkowi nic nie grozi... jest bezpieczny... O więcej nie pytaj mnie, droga mam...